NUMER 28. DNIA 10. LIPCA 1904 ROKU. ROK XII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Z ZIEMI ŚNIATYŃSKIEJ.



Dobrze jest poznać Śniatyn i jego piękną okolicę z lotu ptaka, wzbić się wysoko, choćby na wyniosły plac „zamczyska“, jedyną pozostałość ongi zamku śniatyńskiego, stolicy rozległej królewszczyzny, a patrzeć nań wsteczną perspektywą kronik i starych zapisków. Na tem tle dopiero rozjaśni się ów punkcik niewielki na sokolim dziedzińcu Śniatyna, owa skalna piramida, poświęcona Stefanowi Batoremu i nabierze blasku, a rozgwarzy się wielkiemi słowami.

To tak, jakby ktoś z miecza starego, kurzem okrytego, zdmuchnął brudną powłokę i pierwotne zeń blaski wydobył, sinawą barwę stali, na której krwi plamy rdzawe zakrzepły.

Bo teraźniejszość Śniatyna przemawia tylko dniem dzisiejszym i najbliższą przyszłością. Dzień dzisiejszy to bieda i zaniedbanie, przyszłość to... odrodzenie. Burze wiekowe zmiotły doszczętnie przeszłość samego miasta, nie pozostawiając mu nic, prócz wspomnień, które niejasnem tylko przeczuciem żyją w myśli współczesności śniatyńskiej, a dopiero przez historyka oczyszczone, brylantowego nabierają światła.

Dzisiejszy Śniatyn to mieścina, powiatowa wprawdzie, i z zawiązkiem nawet szkoły średniej realnej, ale niczem się nie odznaczająca, chyba jednem tylko a rzeczywiście przepięknem położeniem. Składa się z domków rozpadłych na trzy dzielnice: ormiańską, polsko-ruską i żydowską, z kilku „no-

wożytnych“, a banalnych w najwyższym stopniu „gmachów“ publicznych, z trzech cerkwi, kościoła łacińskiego, szczupłego i ubogiego, jeszcze uboższego kościółka ormiańskiego i kaplicy Felicjanek. Już ludność, która mieszka w tem mieście jest o wiele ciekawszą i bardziej charakterystyczną. Nierzadko się zdarza, że z progu niskiej chatynki wyjrzy twarz ciemna, długonosa ormianina typowego, jakich nie wiele już się u nas zachowało, to znowu ulicą przejdzie mołojec ruski w kapeluszu bogato sztucznymi kwiatami ozdobionym, lub dziewczyna we wzorzystych a barwnych naszywkach. Żywioł polski, obok światowców i przelotnej biurokracji, reprezentowany jest w typach charakterystycznych małomieszczańskich i rzemieślniczych, jak niemniej szarą masą ludzi, wyróżniających się zaraz na pierwszy rzut oka mową i obyczajem.

Za to widok, który się otwiera na południe i wschód, niezrównany. Miasto położone jest na wysokiej, gliniastej górze, podmywanej krętą wstęgą silnego Prutu i rozległymi zielonymi obszarami, które na kilka mil dokoła zasiane są wioskami i chatami, sięgającymi hen, w dal na bukowińską stronę. Krajobraz niesłychanie rozległy i malowniczy, zakończony siną ramą łańcucha górskiego.

Samo wyniosłe i dominujące położenie, pewna naturalna obronność miejsca sprawiły, że Śniatyn jest jednem z najstarszych miast w tej stronie. Powiadają nawet, że było to już za rzymskich czasów *castellum*, czy strażnica, później gród ruski warowny, który patrzał na zajadłe walki książąt ruskich między sobą, a ostatnio miasto polskie, na prawie magdeburskim osiadłe i rozległa królewszczyzna — starostwo śniatyńskie. Już w tych polskich czasach był Śniatyn widownią wielkich zdarzeń dziejowych, że wspomniemy tylko hołd hospodarów wołoskich królowi Władysławowi Jagielle, przyczem sam niejednokrotnie padał ofiarą wojny, pożogi i zarazy. Dzieje pełne chwalebnych i wielkich okresów zakończyły się wreszcie zaniedbaniem i upadkiem, z którego długa po dziś dzień prowadzi droga odrodzenia.

Najpiękniejszą jednak, choć bardzo krótką chwilą w dziejach Śniatyna jest pobyt w tem mieście Stefana Batorego od 31 marca do 2 kwietnia 1576 r. Wówczas na jedno mgnienie oka stał się Śniatyn stolicą, w której ważyły się losy całej Polski, i rozgrywały najważniejsze sprawy królestwa. Stąd wyszedł pierwszy manifest Stefana Batorego do narodu polskiego z dnia 31 marca 1576, zredagowany w słowach krótkich, dostojnych, w których już widoczny jest ów lwi pazur wielkiego monarchy, domagającego się posłuchu dla wielkich swoich planów. W owych trzech dniach pobytu Stefana Batorego w Śniatynie ugruntowała się władza nowego króla-elekta, tam odniósł on pierwsze wrażenia z nowej swojej ojczyzny, więc nic dziwnego też, że i sam pamiętał później o mieście, które mu pierwsze swoje bramy otwarło i o dzierżawcy starostwa śniatyńskiego, który się nazywał Józef Orzeł, a dom swój cały oddał na usługi i mieszkanie królowi. *Fr. Jaw.*

WŁADYSŁAW ORKAN.

O Wojtku, którego na Szczepana przekręcili.

(Dokończenie).

Czasem jakaś litościwa gaździna, u której nie było nikogo takiego, coby go „bronią“ odstraszał, przyjęła go do domu na czas jakiś; to robił, pomagał jej całem wdzięcznem sercem, i nie widać było po nim, aby mu co w rozumie brakowało, ale niech jeno kto nadszedł i z żartu nóż mu pokazał — już go nic nie utrzymało. Uciekł w pole i już się nie nawinął. Do spotkanego kogoś, kto mu wyrzucał słowami: „Nie dobrze ci tam było? Nie mógłeś tam ostać?“ lub podobnie inaczej, powiadał:

— Ani człek wie, moiściewy, co go może trafić. Gotowiby człeka zarznąć... co myślicie!

— Baj-że, baj! Ktoby cię ta zarzynał! Coby komu z tego przyszło?

— Ho! Ani wiecie, co kto myśli. Cóż przyjdzie z tego ludziom, że biją inszych? a biją...

— Bo jak kto co zawini... Ale cóż ty komu wadzisz?

— Nic nikomu nie wadzę. Ale kto wie... Czasem człek nic nie zawinił, a karzą go... Nierozum ludzki sie nie pyta, ba... bije... na śmierć bije!... Tak. Ja to wiem dobrze.

— Cóż ty, człowieku, możesz wiedzieć? Cóżeś ty podżył na świecie gorzkiego?

— Ja nic nie gadam. Co wy chcecie? Możeście wy szpieg jaki? Co?

I nie czekając wyjaśnień, umykał, jak zwierz postrożny, gdy zwietrzy w polu zasadzkę.

Nieraz też któraś z kobiet, bo te go jeno litowały, zapytała go:

— Jakże ci tam, Wojtuś, przy tem wojsku było?

On na to z pewną przechwałą:

— He! he! Ja już nie Wojtek! Ja Szczepan!

— No to, Szczepanku, jak to tam przy tem wojsku było? Opowiedz no nam choć nieco...

Nie dawał się długo prosić — ochotnie opowiadał:

„Było tak... Raz nam kazali zabrać wszystko, całą zbroję swoją i maszerować na manibry, bo tam nieprzyjaciel czekał. Zebrali my się wartko, coby nam nieprzyjaciel tymczasem nie uciekł i szli my cięgiem polami, obchodząc drogi z daleka, aby go napaść z nienacka. Spieszyli my sie strasznie, ale i to sie widziało jednorałom, co za nami na koniach jechali, że za pomału idziemy, bo nas co chwila przynaglali, a czasem kazowali biedz, co sił wystarczy. Niejeden słabszy nie wytrzymał — bo i upał był okrutny — zwłaszcza, jak przyszło iść po piaskach, gdzie nogi wiązły po kostki. To też dużo poostało i zbierali ich na wóz. Ale my szli wytrzymale, bo cóżby sami jednorałowie z nieprzyjacielem robili, jakby my wszyscy poostali — aże doszli my do jakiejś dziedziny, gdzie nam kazali przenocować. Dali każdemu numero i kazali nam kwater podług tych numerów szukać. Poszedł ja szukać tej swojej kwatery, ale — czy ja to numera znam? Nałaziłech się jeno po próżnicy i wreszcie cóż było robić? noc już na ziemię zeszła i kwater nie było widać — poszedłech w pola między żyta i położyłech sie spać w całej zbroi. Zbudziłech sie dopiero, skoro na zbiórkę rano zatrąbili. Zerwałech sie co tchu, zdyszany przylatuję i staję w rzędzie za innymi. Starsi mię zawołali... Nie wiem, co im sie na mnie nie widziało — czy to że rosa mnie przysiadła, czy co insze — bo mię opatrowali dookoła i potem... bili, aż... wstyd mówić. Nierozum ludzki i telo powiedzieć. Bo cóż ja im zawinił?“

„Drugi raz znowu, ale to już było po manibrach, kazali mi iść na wartę. Ja sie też ochotnie zbierał. Przecie mi to nie było cudne. Co ja sie na tę wartę z chałupy nachodził! Przyszła „warta“ *) to matusia: „Ty, Wojtek, pójdziesz“. Ja sie nieraz i opierał, jak mi sie nie bardzo chciało: Czemu raz Szczepan nie idzie? ja zawdy bedę chodził?“ Ale cobyś z matusią... zawdy stronę Szczepana trzymali. Szło się z „wartą“ do wójta, jak wiecie i tam sie przedstawiało, że „warta“ jest, a potem sie szło na szopę i spało sie do rana... To też, jak mi przy wojsku kazali, ja sie ochotnie zbierał. Tak to rozumiem — na wartę — a nie na żadne egzecyrki... Warta potrzebna. O tem ja już dawno wiedział. Zebrałech sie i poszedłech, kany mnie zaprowadzili. Przykazowali mi na odchodnem, żebych „warty“ pilnował. O nie bójcie sie, ja tu „warty“ nie stracę. Myślę se: „to pewnie przy wojsku gwer „wartą“ nazywają. Dobrze sie czegoś nauczyć. A powiadają, że sie człek przy wojsku niczego nie nauczy... bajtki!“ Tak se dumam rozmaicie i stoję na tej warcie. Ale mi sie już zadługo widziało — już mi sie zaczął czas na dobre dłużyć — rozpatruję się dookoła, żeby to cnienie jakoś zacyganić i widzę niedaleko: wiśnia zieleniutka, a na niej czerwienią się wiśnie, jak pokusy. (Potem mi przyszło dopiero do głowy, że to djabeł pewnie tę wiśnię tam wsadził, aby mię skusić, jak drzewiej naszych ojców w raju). Pić mi się właśnie zechciało. Ja też nie wiele dumajęcy, oparłech „wartę“ o budkę, podszedłech ku tej wiśni i wylazłech na nią. Obieram wiśnie (słodkie były) i daję poziór na „wartę“. Nie zjadłech może ze trzy garści — widzę: nadchodzi patrol ze starszym — słyszę wnet wołają na mnie. „Ja haw!“ — odzywam się im, choć mógłech sie i nie odezwać. Starszy zakrzyknął: „A gdzie warta?“ — Ja mu powiadam: „Tam stoi...“ — On znowu jeszcze głośniej: „Tak warty pilnujesz?!“ — Ja, widząc, że sie niepotrzebnie złości, aby go rozśmieszyć, odpowiadam mu do składu: „Ja haw wiśnie obieram — i na wartę pozieram“. Nie wiem, czy ta odpowiedź tak go zgniewała, iże nie czekał, aż zlezę, ino kazał mię żołnierzom ściągnąć i bił po pysku, po rozumie, gdzie ino w złości utrafił. Pytam sie: za co? a ten nic, ino sie jeszcze bardziej sroży. Nie koniec na tem. Pojmali mnie i zawlekli, bom iść nie zdołał o swej sile, do jakiejś ciemnicy i znowu bili... Nie warto i gadać. Nierozum ludzki i telo powiedzieć“.

„Trzeci raz znowu tak było: Kazali nam sie ubrać na paradę i wyruszyć na błonia za miasto — tam miał przyjechać jednorał jakiś najstarszy i mieli my mu sie przedstawić. Ubrali my sie, wzięli zbroję i wymaszerowali. Potem my sie ustawili tak, jak nam kazali, i czekali-my w cichości, co bedzie,

*) Znak (na wartę): czasem trąba, a czasem kawałek drewna o kształcie rozmaitym. Taka „warta“ ma w oczach wszystkich, zwłaszcza dzieci, jakąś świętość, nietykalność, jak np. kapelusz władzy.

Nadjechał wreszcie jednorał — cały we złocie, że aż oczy bolały od blasku. Serce sie we mnie zatrzepało... Widzę: nikt go nie wita, jak należy — wszystko stoi i patrzy, jak głupiec. Ja też niewiele myślęcy, zdjąłech gwer i wystrzeliłech mu na wiwat. Ale cobyś z ludźmi... Zlecieli sie ku mnie zewsząd i — znowu bili... Ja sie już i nie pytał: za co? Bo co bedę z głupimi... Nierozum ludzki — i telo powiedzieć.“

Takie jeno historje Szczepan z wojska umiał, podobnych jeszcze trochę i nic więcej. Choć znali je ludzie wszyscy, bo jedni drugim podawali, jednak radzi je od niego słyszeli, aby śmiechu było więcej. Jemu zaś było wszystko jedno, czy się kto śmiał lub nie — tak śmiech jednako przyjmował, jak i głośne, udane litości.

I plątał się tak między ludźmi — właściwiej: między strachem, a rzadkim spokojem, to między głodem, a rzadką sytością. Jak się przy czasie zdarzyło... Żył tak doznaku, jako ten zwierz polny, trochę do ludzi wzwyczajony, ale więcej się ich lękający.

Nieraz któryś ze starszych gazdów postrofował go żartobliwie:

— E, Wojtuś, czy tam Szczepanku, popila ci sie tak tłuc pomiędzy ludźmi? Masz swój kawałek — poszedłbyś i siedział na nim.

I słuszność była w tej uwadze, bo miał swój kawałek pola — matusia przecie nie zabaczyła o nim doznaku i ostawiła mu go w destamencie.

Ale też i Szczepan słusznie odpowiadał na to:

— Jakże bede na nim siedział, skoro hań śnieg...

Bo rzeczywiście — przez cały rok prawie leżał śnieg na tym kawałku. Kawałek ten był pod lasem w stromej, północnej uboczy. Najwcześniej śnieg na niego spadał i najpóźniej z niego złaził, tak że, chcąc z niego co zbierać, trza było chyba trawę siać, ale cóż z tego — kamyk był przy kamyku tak gęsto i jeszcze jeden na drugim, żeby się już trawa przy nich, choćby jak igły cienka, nie zmieściła.

— Nima rady, chrzesne ojce! — jak powiada komornica, Tekla, która też taki „grunt“ po ojcach dzierży.

Tak więc Szczepan, choćby i usposobienia nie miał do chodzenia, musiałby rad nie rad chodzić: bo czas miał — dużo czasu zbywało mu od uprawy macierzyńskiego zagona.

A że miał usposobienie do marszów, do manibrów i inszych wolnych na powietrzu ćwiczeń, to i uprawę zaniedbał doznaku.

Ludzie z czasem — gdy się z nim całkiem oswoili, gdy już wiedzieli wszystko, co miał powiedzieć i historje jego wszystkie dobrze znali i nic się już nowego od niego nie spodziewali — stali się dlań dokuczliwsi, można powiedzieć: gromadnie zawzięci.

Dawniej młodzież, a potem już i starsi straszyli go „bronią“ różną, tak iż do reszty zdziczał. Latał po polach, jak dawniej, ale z daleka od osiedli, człeka, gdy dojrzał, wymijał, choćby mu potok padło przejść spieniony, czasem jeno ku małym, nieletnim pasterzom przyszedł zagrzać się, gdy ogień palili. I nie wiadomo, czem się żywił — pono bukiew zbierał i łuszczył, co dziki nie domlaskały, to znowu jawór jakiś pod lasem obłupił i skóre onę ssał dla słodkości, jaka się w niej ma znajdować — któż wie, co zresztą już nie jadał.

I żył tak, póki nie umarł.

W pamięci ludzkiej jeszcze ciągle żyje; serdecznie się uśmieją, gdy se go przybaczą lub przywiedą na pamięć jego opowieści: o jego wojsku, abo o tem, jak go to na Szczepana przekręcili...

Najzimniejszy klimat na świecie 4)

NAPISAŁ

ADAM SZYMAŃSKI.

(Ciąg dalszy.)

Pierwszą zimę znosi się stosunkowo nieźle. Wszystkie bowiem najrealniejsze opowiadania, nawet tam na miejscu, nie są w stanie pouczyć nikogo, czem jest ta zima. Dopiero bezpośrednia znajomość poucza i przekonywa, z jaką siłą ma się do czynienia. Gdy pod zabójczym oddechem tych mrozów strasznych umilknie na ziemi wszelaki gwar żywy i zamiast tego gwaru zaczynają dochodzić do nas nieznane, ostre, suche dźwięki i trzask pękających grubych bierwion w domach, huk i łomot trzaska-

jących lodów i rozsadzonej szerokiemi szczelinami ziemi; gdy grube wiekowe drzewa rozlatują się w drobne szczapy, ni to ręką niewidzialnego olbrzyma łupane, wtedy dopiero zaczynamy rozumieć potęgę tej zimy okrutnej. Instynkt samozachowawczy podpowiada nam, jak i wszelakiemu stworzeniu żywemu, że stoimy nie wobec zmiennej, łagodnej zimy Zachodu, ale wobec siły strasznej, co jak głód, jak mór ciężki — śmiercią wionie.

Niepomiernie zgęszczone powietrze jak gdyby zastyga nad całą krainą — a straszne dźwięki mrozów coraz większych rozlegają się coraz częściej, rozchodzą się coraz dalej. Dźwięk skrzypiących sani jest słyszalnym na takim mrozie o 3 4 kilometry. Z wydychanego powietrza wszystka wilgoć scina się odrazu, z jakimś nieprzyjemnym sykiem w mikroskopijne śnieżne kryształy i ten syk, chrzęst, jak zgrzyt metalu wśród ciszy grobowej zaczynamy słyszeć wszędy.

Ilość kryształów śnieżnych, w postaci najdelikatniejszego pyłu, wzrasta w powietrzu z każdym mrozem silniejszym, a gdy uderzą mrozy 40 stopniowe, zjawia się mgła śnieżna, której gęstość zwiększa się z każdym stopniem mrozu. Jeżeli rano po wyjściu z domu, nie ujrzy się domów sąsiednich lub po drugiej stronie wąskiej ulicy znajdujących się, wie już tu i dziecko małe, że mróz zbliża się do 50^0. Mgła ta, dzięki której słońce przedstawia się jak plaster żółtawy, coś jak księżyc zamglony, powstaje z wilgoci, wymarzającej ze wszystkiego, z czego tylko wymarznąć może. Mgła ta jest tą naturalną ochroną, którą sam ten mróz okrutny, jak gdyby litując się nad ziemią nieszczęsną, rzuca jej w darze, aby ochronić ją od zupełnej zagłady.

Drugim wspaniałomyślnym darem mrozu okropnego jest ogromne zgęszczenie, a wskutek tego i unieruchomienie powietrza. Powietrze to jest tak nieruchome, że sprawia wrażenie, iż też zastygło od mrozu i ta właśnie nieruchomość powietrza pozwala wszystkiemu, co żyje na ziemi jakuckiej, znosić te mrozy niepomierne.

Biada, gdy to powietrze poruszy się! Nie pomagają wtedy wielkie przyzby ze śniegu, aż pod same okna sypane, nie pomaga opancerzenie domów lodem, nie pomagają szyby lodowe! Biada podróżnikowi, gdy w czasie mrozów wielkich ta groźna, mirjadami niewidzialnych iglic lodowych najeżona, masa powietrzna poruszy się silniej! Ciepło wszelakie, ciepło zwierzęce i z tej ziemi zamarzłej, nie tak silnie jednak oziębionej, promienieje wtedy z niesłychaną szybkością, w najcieplejszych mieszkaniach zimno wtedy, ludzie w drodze marzną nawet w ciepłych ubraniach, jak i zwierzęta w lasach.

Gdyby nie zahartowana, żelazną wytrzymałością wobec tych mrozów odznaczająca się ludność jakucka, żadna ludność europejska nie mogłaby tu istnieć. Najwytrwalszy robotnik nie tylko polski, ale i rosyjski nie jest w stanie zaprządz konia na tym mrozie. Ale i takie istnienie, podtrzymywane hartem plemienia jakuckiego jest półżyciem — jest powolną agonją dla organizmu europejczyka. Wedle mniemania najznakomitszego dotychczas badacza klimatu jakuckiego, Middendorfa, klimat ten jest dla nas nie mniej zabójczym, niż najgorszy podzwrotnikowy; po 4-ch latach, wedle jego mniemania, ulegać tutejszej zimie zaczyna najoporniejszy organizm.

Pięć lat przyglądałem się tej groźnej pani i w powiedzeniu tem nie widzę przesady. Mógłbym o niej snuć teraz powieść za powieścią, jak o jakiejś strasznej królewnie z bajki, ale pomimo iż to się słucha ciekawiej — wróćmy i do suchych, faktów.

Dotychczas nauka nie rozstrzygnęła kwestji w jakiej ściśle określonej okolicy znajduje się biegun zimna północnego. Palmę pierwszeństwa dzierżył do niedawna Jakuck, a od niedawna okolice Wierchojańska, leżącego 600 km. na północ od Jakucka, uznano za najzimniejsze. Przypuszczam jednak, że dłuższe obserwacje lepszemi termometrami przywrócą tę smutną sławę Jakuckowi. W Wierchojańsku średnia temperatura każdego miesiąca jest bez wątpienia niższą, ale teoretycznie rzeczy rozważając, najwyższe mrozy powinny być w Jakucku.

Średnia temperatura lata wynosi w Jakucku $+ 12^0$ R. — jesieni — 8^0 — zimy przeszło — 30^0, wiosny — $7\frac{1}{2}$, całego roku — 9^0 R. grudnia — 33, lutego — 28.

Wszystkie jednak te cyfry są rezultatem obserwacji dawniejszych, dokonanych termometrami niezbyt dokładnemi. Mierzenie bowiem tak niskiej temperatury nie jest łatwem. Termometry rtęciowe zupełnie zamarzają przy 33^0 mrozu i do mierzenia temperatury niższej są używane termometry spirytusowe. Te zaś ze względu na trudność otrzymania spirytusu zupełnie bezwodnego, dopiero od niedawna są ściślej do wymagań naukowych dostosowane.

Przytoczone cyfry średniej ciepłoty miesięcy dają bardzo niedokładne pojęcie o najzimniejszej ziemi na świecie. Daleko wyraziściej przedstawiają to temperatury codzienne lub krańcowe. Gdybym miał możność przedstawienia każdego miesiąca tak, jak to uczyniłem z listopadem, dałoby to najlepszy obraz tej zimy — ale nie moglibyśmy znowu mówić o innych niemniej charakterystycznych zjawiskach.

Zestawienie najniższej i najwyższej temperatury danej miejscowości jest jednem z takich zjawisk.

Wedle dawniejszych obserwacji najniższej temperatury w Jakucku był mróz, wynoszący $48\frac{1}{2}^0$ R, największe zaś ciepło 31^0 R, ale w 1882 r. najcieplejszym był dzień z $32\frac{1}{2}^0$ R., najzimniejszym 17. stycznia z mrozem 53^0 R, co się równa $66\frac{1}{2}^0$ C. Czyli, że różnica pomiędzy najwyższą i najniższą t^0 dochodzi tu do $85\frac{1}{2}^0$ R. tj. przeszło 106^0 C. Ta właśnie olbrzymia różnica pomiędzy najzimniejszą i najcieplejszą temperaturą, czyni z klimatu jakuckiego klimat, zwany w języku naukowym „idealnym typem klimatu lądowego“, lub jak się wyrażał Middendorf „niedościgłym wzorcem“ tego klimatu.

Wzmiankowałem, że mrozy tego „niedościgłego wzorca“ mierzy się zapomocą termometrów spirytusowych. Termometr rtęciowy zamarza przy — 33^0 R. Otóż ciekawem jest wiedzieć, jak długim może tu być perjod zamarzania rtęci. Ciekawem ze względu na łatwość zestawienia z tem, co jest u nas. U nas bowiem mrozy 33^0 R. teraz jakoś nigdy, a dawniej podobno zdarzały się, ale niesłychanie rzadko — w Moskwie zamarzanie rtęci, jakkolwiek zdarza się, ale nie jest częstem. Otóż w Jakucku najwcześniejsze zamarzanie rtęci było obserwowanem 1. listopada, najpóźniejsze 6-go marca, czyli, że możebny przeciąg zamarzania rtęci wynosi tam 124 dni tj. więcej niż trzecią część roku.

Prawda, że obserwacje wskazują, iż w ciągu tak długiego czasu mrozy 33-stopniowe nigdy nie utrzymują się bez osłabnięcia, chociażby do 30—28^0 chociażby na parę godzin i najdłuższy znany termin, w ciągu którego rtęć wcale nie rozmarzała, wynosi 40 dni, terminy jednak najwcześniejszego i najpóźniejszego zamarzania wskazują, że za najmniejszą może jakąś błahą przyczyną mrozy ponad 33^0 R. mogą tu trwać trzecią część roku. Kto choć raz w życiu widział w Jakucku mróz, dochodzący przed upływem października do 31^0 R., lub doświadczył, jak przez 4 miesiące z rzędu z małemi przerwami srożą się mrozy czterdziesto-stopniowe, zniżając się już w listopadzie do 50^0, a w styczniu dochodzące dwa razy do 53^0 R., ten wie, że ta możność wisi tam na włosku i w każdej chwili urzeczywistnioną być może. Wszak w tymże 1882 r. 30-go marca o 7-mej rano było 30^0 mrozu, 31-go 27^0 a 13-go kwietnia już po kilku dniach z południową ciepłotą — 5 do 8^0 R. — rano było 16^0, w południe — 9^0 a wieczorem 18^0 mrozu.

(Dok. nast.)

Z chat.

IV.
Święto.

Oprzątnęła obejście, izbę, dzieci — rankiem,
strój świąteczny przywdziała, biegnie do kościoła.
Hej, niedziela! wypocznie... W drodze zbiera zioła,
co „Najświętszą“ otoczą wonnym, świeżym [wiankiem.

Dymy kadzielne, światła, pienia organowe,
od ołtarzy bijące promienie złociste
przytłaczają jej tchnienia rzewnie uroczyste
i lęk dziwny nawodzą na młodą jej głowę...

Nagle, wśród ciszy, głosu donośnego dźwięki
przyjęły hożą postać nawskroś zimnym dreszczem:
„Piekło was, grzeszne dusze, spali ognia desz- [czem,
za nieprawości wyda na wieczyste męki!“
Jako gołąb schwytany, drży, twarz zlewa łzami:
„O Jezu — szepce blada — zmiłuj się nad nami!“

V.
Prządki.

Ognisko na kominie płonie, skrami bucha,
wrzeciona wartko snują równą nić z kądzieli,
kątami cienie chodzą po czystej ścian bieli,
gromadka prządek długiej opowieści słucha...

Za oknem stoi srebrna zimowa noc głucha,
księżyc blask jasny kładzie na śnieżnej pościeli,
cicha opowieść płynie: „My prochu nie mieli...
raniony nasz naczelnik wyzionął już ducha...“

Stuknęło drewno kuli u nogi bajarza,
wrzeciona z rąk wypadły, dziwnie świecą oczy,
— czy łza, czy blask płomienia źrenice rozżarza?

...„na nas chmura bagnetów, by szarańcza kroczy!
Stanęlim...“ — Wtem pies warknął stulony u proga,
Powieść zmilkła... Stuknęła gniewnie kula-noga.

ZOFJA P.

MARJA JARMUND. 13)

Nasze ideały w XIX. wieku.

Możemy być zupełnie spokojni, nie w ten sposób wróg zada największe ciosy, nie z tej strony grozi niebezpieczeństwo, pomimo, że ziemia, wydzierana przez niego, a przez spodlonych ziomków frymarczona, dotkliwą stanowi stratę. Gwałtowne napaści wyjdą nam tylko na dobre, wzmogą czujność, nauczą solidarności, pobudzą do energicznej praw swoich i życia obrony, położą skuteczną tamę wszelkim zbliżeniom i wszelkim z wrogiem ugodom i konszachtom. Nieprzyjaciel dobrej sprawy najczęściej sam popycha ją naprzód. Chrześcijaństwo nie byłoby się rozszerzyło tak szybko po świecie, gdyby nie prześladowania, jakich się stało przedmiotem. My też więcej obawiać się możemy ustępstw ze strony zaborców i obłudnej ugody, bo to usypia czujność, demoralizuje, daje folgę złym skłonnościom i pozwala we własnem sumieniu order, lub urząd dworski uważać jako wystarczające za utraconą ojczyznę wynagrodzenie. Zgnieść nas gwałtem nie zdołają, gdyż jesteśmy kilkudziesięcio-milionowym narodem, którego połknąć nie łatwo, jeżeli sam nie „zsiądzie z koni“, nie podda się dobrowolnie, jeżeli swoją niegodziwością nie dopomoże wrogowi do zwycięstwa, „bo tylko własne upodlenie ducha przykuwa karki wolnych do łańcucha“. Znane przysłowie powiada: „Im gorzej, tem lepiej“. A że się nie myli i że w naszem położeniu ostateczność jest lepszą, to nawet ze słów skłonnego do wszelkich ustępstw Bolesława Prusa wynika. „Dopiero gdy mamy sprawę z przeciwnikiem złym — pisze autor „Ideałów życiowych,“ gdy musimy bronić w ł a s n e g o i s t n i e n i a, dopiero wtedy przyjmijmy walkę. Wówczas zmuszony do niej niech sobie powie: Za mną grób, po bokach dwa doły pełne błota, a przedemną nieubłagany przeciwnik, którego muszę złamać. Wtedy walcz, jakbyś zamiast krwi miał w żyłach jad ze wszystkich psów wściekłych“.

Otóż my zmuszeni jesteśmy obecnie bronić „własnego istnienia“. Z „Ideałów życiowych“ znakomitego pisarza, ten jeden, który wynagradza wszystko, co w ugodowych radach mogło być szkodliwego, winniśmy wziąść za wskazówkę dalszego postępowania.

Na zakończenie streszczając w kilku słowach cały okres stuletni narodowych wysiłków i dążeń, widzimy z jednej strony brak determinacji, obojętność, chwiejność (pomijamy już zdrady i zbrodnie, popełniane tak często przeciw sprawie ojczystej), paraliżujące każde działanie, z drugiej zapał bezkrytyczny i nierozważny, rzucający się na najtrudniejsze przedsięwzięcia bez obliczenia sił i środków. A tak jedna, jak i druga ostateczność równie zgubne sprowadza skutki. Wszystkie działania nasze noszą cechę, albo najzupełniejszej nieudolności, zbrodniczego marnowania sił i zasobów, albo niedostatecznej rozwagi.

Podczas wojen napoleońskich, wylewamy najdroższą krew strumieniami, nie zagwarantowawszy się, żeby te ofiary nie poszły na marne. W 30 roku rewolucja wybucha bez ustanowienia naprzód rządu silnego działającego szybko, energicznie i odważnie, pozostawiając kierownictwo w ręku starych niedołęgów, którzy zamiast walczyć do ostatniej kropli krwi, trawią czas na układach z wrogiem i gotują narodowi, mogącemu liczyć na pewne zwycięstwo, sromotną porażkę. Sposobność do nowej walki z wrogiem w najdogodniejszych okolicznościach, podczas wojny krymskiej opuszczona, doprowadza w kilka lat później w 63 do wybuchu powstania najfatalniejszego ze wszystkich. Wywołane bez żadnych zasobów w czasie zupełnej ciszy w Europie, doprowadzić musiało do pogromu i zbankrutowania na czas długi wszystkich ideałów narodowych. Klęski nasze, jak z tego widać jasno, nie wypływały dotąd z braku sił dostatecznych lub możności obrony, lecz z nieumiejętnie wybieranej pory działania, a zarazem z nieudolnego kierownictwa i lękliwości przed stanowczemi krokami. Nieumiejętność obmyślenia dokładnego planu i obrania stosownej chwili do wybuchu, była powodem, że każde prawie powstanie zamiast przynieść korzyść ojczyźnie i doprowadzić do wolności, stawało się pracą na korzyść wrogów, jakkolwiek 63 rok przez załatwienie kwestji włościańskiej, nieobliczalną sprawie ojczystej oddał usługę i znacznie posunął ją naprzód. Na przyszłość nie wolno już popełniać podobnych błędów. Dążenie do odzyskania niepodległości i wydarcia zagrabionych nam prastarych dziedzin, pozostanie i nadal jedynym z najgoręcej ukochanych przez nas ideałów, jak nim było przez cały wiek XIX., ale środki do dopięcia tego celu muszą się zmienić. Ze smutnych doświadczeń przodków przyszli obrońcy wolności powinni czerpać naukę i brać się do dzieła w inny sposób. Przedewszystkiem więc nie można się zrywać do walki bez doczekania się korzystnych na zewnątrz okoliczności. Co znów nie znaczy, żeby liczyć na cudzą pomoc. Dobroduszna tylko naiwność naszych ojców pozwalała na takie złudzenia. Przekonaliśmy się na Burach, czy oprócz wyrażenia pięknemi słowami współczucia i podziwu dla ich

heroizmu, pospieszył kto z inną pomocą. Można jednak wyzyskać chwilę stosowną, gdy wróg, zajęty z innej strony, ręce ma związane i wtedy dopiero wstając, „jakby się miało w żyłach jad wszystkich psów wściekłych“, rzucić się z drugiej strony na niego i zapewnić tem sobie zwycięstwo.

Na podobną okazję należy czekać cierpliwie, choćby się oczekiwanie przeciągać musiało dziesiątki lat. W życiu ludzkiem lat sto równa się prawie wieczności, dla narodu krótką jest tylko chwilą, lepiej więc doczekać się pory stosownej i pewnej w dalekiej przyszłości, niż zrywać się bezmyślnie do wątpliwej walki. Jedna jeszcze nierozważna klęska mogłaby pogrzebać raz na zawsze naszą świętą sprawę. Tymczasem jednak nim obrachunek nastąpi, nie zakładać rąk bezczynnie, lecz pracować. Gromadzić powoli środki do przyszłej walki, zbierać fundusze, uświadamiać i wciągać do tej pracy całe masy ludowe, budzić wstręt, niechęć i nienawiść do wrogów, odgraniczać się od nich nieprzebytym chińskim murem, przynajmniej pod względem towarzyskim i moralnym, dzieci od kolebki przygotowywać do tego, co je w przyszłości oczekuje. Starać się o rozbudzenie w narodzie, tak mało do tego przysposobionym, solidarności, bo bez niej, mając przeciw sobie zwarte szeregi niewolników, jedną popychanych wolą, nigdy się zwycięstwa nie doczekamy. Łączyć się i działać pocichu, ostrożnie, tak, żeby nie wiedziała lewica, co robi prawica, nie ogłaszając na wszystkie strony, gdy ktoś książkę zakazaną przeczyta pod zaborem moskiewskim albo pruskim i gdy dwie lub trzy osoby zejdą się tam na poufną pogadankę, jak to weszło w zwyczaj od niejakiego czasu. Czuwać, pracować i mieć się na baczności, bo nikt nie wie dnia ani godziny, kiedy działać wypadnie i nie może odgadnąć, czy ta chwila nadejdzie za sto lat, czy też za rok.

(D. n.)

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Tonie*, powieść Kazimierza Królińskiego. Lwów 1904. Nakładem księgarni W. Zuckerkandla. O tej powieści możnaby, albo bardzo dużo pisać albo też przejść nad nią w milczeniu do porządku dziennego. Nie uczynimy jednak ani jednego, ani drugiego, bo długi rejestr usterek może zniknie, gdy autor z mniejszym impetem i pospiechem przebiegać pocznie dziedziny twórczości literackiej, a skutkiem tego lepiej pozna ich głębsze tajniki. Z drugiej zaś strony zupełne milczenie i wyczekiwanie również nie jest wskazane, bo autor jest człowiekiem młodym, który lubi pisać i czuje potrzebę pisania, a dobre chęci bardzo często brać trzeba za czyny... Wobec tego ograniczamy się na razie do wzmianki bibljograficznej, że p. Kazimierz Króliński, po wielu artykułach, wierszach, rozprawach i nowelach z życia ludu, napisał obecnie dłuższą powieść p. t. „*Tonie*“, odznaczającą się kilku ładnymi ustępami lirycznymi. *Fr. Jaw.*

NOTATKI.

Zbiory po śp. Janie Blochu w Warszawie (Muzeum pedagogiczne). Przed paru tygodniami przybyła Warszawie wielce pożyteczna instytucja prywatna, z której jednak będzie mógł korzystać szerszy ogół. Wdowa po śp. Janie Blochu, głośnym finansiście, p. Emilja Blochowa, umieściła w domu przy ul. Składowej nr. 3, należącym do tutejszego Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, zgromadzone w ciągu lat wielu z wielkiem zamiłowaniem i jasno wytkniętym celem obfite zbiory, które możnaby nazwać „muzeum dobrobytu ludowego i wychowania“. Składają się na nie 3 działy: I. Przedewszystkiem bibljoteka, zawierająca numerów 3.561, tomów zaś przeszło 12.000. Podzielano ją na 10 grup: 1. Hygjena, 2. Piśmiennictwo ludowe. 3. Muzea. 4. Dobroczynność. 5. Dobrobyt. 6. Oświata. 7. Galicja. 8. Szwajcarja. 9. Teksty objaśniające do tablic i modeli, teksty do obrazów latarni czarnoksięskiej. 10. Dzieła J. G. Blocha. W grupie 6. znajdują się następujące działy: Pedagogika. Oświata ludowa i szkoły niższe. Gimnazja i inne szkoły średnie. Uniwersytety i inne zakłady wyższe. Kształcenie dziewcząt. Wybór zajęcia. Szkoły przemysłowe, rzemieślnicze i inne zawodowe. Szkoły techniczne. Szkoły dopełniające. Szkoły handlowe. Szkoły rolnicze. Seminarja nauczycielskie. Szkoły i warstaty poprawcze. Gimnastyka, pływanie, sport. Śpiew, muzyka. Nauka slöjdu. Budynki szkolne. Hygjena szkół. Statystyka szkolna. Ustawy i regulaminy szkolne. Programy szkół francuskich. Podręczniki szkolne. — II. Drugim działem, uzupełniającym bibljotekę, jest kolekcja tablic i albumów, obejmująca numerów 136, egzemplarzy zaś przeszło 1.300. Rozpada się ona na 10 grup. W dziale tym na szczególną uwagę zasługują obfite zbiory tablic botanicznych oraz map poglądowych. — III. Trzecim działem jest zbiór modeli i okazów, podzielony na 5 grup: 1. Pedagogika. 2. Rytownictwo. 3. Modele anatomiczne i okazy przyrodnicze. 4. Sprzęty domowe i kuchenne dla włościan. 5. Położnictwo. W grupie 1-ej zgromadzono zbiory okazów: 1. dla szkółek freblowskich i początkowych, oraz nauki slöjdu; 2. dla szkół technicznych, rzemieślniczych i weterynaryjnych; 3. dla nauki robót kobiecych. Na uwagę zasługują tutaj ciekawe okazy do nauki poglądowej i kolekcje dla niższych szkół rolniczych. Zbiór klisz do latarni czarnoksięskiej liczy przeszło 1.500 sztuk. Nie zapomniano nawet o archeologji: są okazy wykopalisk, grotów, narzędzi z krzemienia łupanego itd.

Z drukarni W A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.